

GRZEGORZ SUPADY

Studium Języków Obcych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie

Włodzimierza Kowalewskiego dyskurs z (po)niemieckością

Włodzimierz Kowalewski's Discourse with a (Post) German Heritage

Słowa kluczowe: Niemcy, Polacy, regionalny, literatura, przeszłość
Key words: Germans, Poles, regional, literature, past

Włodzimierz Kowalewski należy do najwybitniejszych pisarzy wywodzących się z Warmii i Mazur. Urodził się w Olsztynku, miasteczku położonym w południowej części dawnych Prus Wschodnich, którą po zakończeniu drugiej wojny światowej włączono do Polski. W latach panowania nazizmu w Niemczech ważnym wyróżnikiem tej miejscowości była bliskość mauzoleum niemieckiego marszałka Paula von Hindenburga. Natomiast po roku 1945 szczególną rolę w życiu publicznym także i tego miasta musiała odgrywać niewielka odległość, jaka dzieli je od pól bitewnych pod Grunwaldem. Rzeczą oczywistą było więc, że przyszły pisarz już od dzieciństwa musiał być nieustannie konfrontowany z niemieckością, choćby za sprawą licznych świadectw po, nie tak znowu odległej przecież, przeszłości czy też ze względu na stosunkowo wysoki jeszcze w czasach jego dzieciństwa i młodości odsetek ludności rodzimej, głównie mazurskiej, wśród ówczesnych mieszkańców rodzinnego Olsztynka i okolic. O wczesnym dostrzeżeniu problematyki niemieckiej zadecydowała także jego młodość spędzona wśród grynderskiej zabudowy olsztyńskiej dzielnicy Zatorze. To tam bowiem przez długie dziesięciolecia powojenne zdołał zachować się, przede wszystkim dzięki specyficznej architekturze, klimat dawnego miasta Allenstein. W opowiadaniu *Kamienica Denglera*, opublikowanym w tomie *Światło i lęk. Opowiadania starej daty*¹, Kowalewski wspominał, iż wraz ze swoimi ówczesnymi kolegami niezmordowanie eksplorował skarby ukryte w ziemi na terenie tamtejszych podwórek. Przypadkowe znaleziska przypominały mu nieustannie o tym, że niegdyś pod tymi samymi adresami i dachami, w tych samych

¹ W. Kowalewski, *Światło i lęk. Opowiadania starej daty*, Warszawa 2003.

miejscach, zamieszkiwali użytkownicy zupełnie innego języka niż jego mowa ojczysta. Te wykopaliska obfitowały w takie przedmioty, jak butelki z charakterystycznymi zamknięciami, zbutwiałe bądź nadpalone strzępki gazet i książek zapisanych szwabachą, kawałki zardzewiałych sprzętów itd. Wszystko to stwarzało szansę na to, że Kowalewski, dysponując niezwykłą siłą talentu narracyjnego, z powodzeniem może stać się piewcą i odkrywcą dawno minionych Ultima Thule, by nie użyć w tym kontekście po raz kolejny zużytego już nieco porównania z Atlantyda Północy. Mógłby więc w dziele (od)tworzenia lokalnego *genius loci* niemalże uprzedzić Pawła Huellego i stać się takim samym twórcą, któremu udało się niełatwa sztuka powołania do literackiego żywota jakiegoś miejscowego, olsztyńskiego Weisera Dawidka. Częściowo zresztą tak się stało, a mianowicie za sprawą jego opowiadania *Powrót do Breitenheide*. Kowalewski nie skupiał się jednak później tylko na odkrywaniu spraw związanych z zastaną rzeczywistością poniemiecką. Najprawdopodobniej wynikało to z dwóch przynajmniej powodów. Otóż Huelle podaje w swych wypowiedziach autobiograficznych przykłady rodzinnych koneksji, łączących go pośrednio także z niemieckim kręgiem kulturowym², na co wskazywałoby również brzmienie jego nazwiska. Kowalewski należy natomiast do pokolenia urodzonego wprawdzie na dawnych terenach niemieckich, ale takiego, którego przodkowie legitymowali się dowodami osobistymi zawierającymi adnotację o urodzeniu na terytorium ZSRR, co – jak wiadomo – było oczywistym anachronizmem, bo w rzeczywistości wywodzili się oni z polskich kresów wschodnich. Olsztyński pisarz nie wykazywał ponadto większego zamiłowania do przyswajania sobie chociażby rudymentów języka niemieckiego, co w pewnym sensie zdeterminowało także jego późniejsze wybory konkretnych autorytetów literackich. Elementem trwale łączącym Huellego i Kowalewskiego zdaje się natomiast pozostawać postać Tomasza Manna, skoro obaj poświęcili temu prozaikowi większe, jak w przypadku Huellego (*Castorp*), lub mniejsze, jak u Kowalewskiego (*Wieczór autorski*), opowiadania. W tym ostatnim utworze autor wykazał ponadto dużą znajomość dokonań innych twórców kultury niemieckiego obszaru językowego. Przedstawiając w nim fikcyjną wizytę wybitnego pisarza niemieckiego w mieście zwanym w tekście konsekwentnie Allenstein, Kowalewski prezentuje między innymi liczne odwołania do życia literackiego w Niemczech przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Okres ten zdaje się fascynować go ze szczególną intensywnością, zwłaszcza niemiecki ekspresjonizm, i to zarówno jako kierunek w malarstwie, jak i w literaturze. By uzyskać jak najbardziej wiarygodne tło dla swej opowieści o wyimaginowanej podróży, jaką pod koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku miał odbyć Tomasz Mann z Monachium do Olsztyna/Allenstein, Kowalewski wplótł do wykreowanego

² Por.: http://teatrnn.pl/leksykon/node/4384/pawe%C5%82_huelle_ur_1957#1 [dostęp: 20.09.2015].

przez siebie tekstu liczne odniesienia do ówczesnych realiów, każąc na przykład autorowi *Buddenbrooków* czytać w podróży „Neue Rundschau” i „Literarische Welt”. Dzięki zastosowaniu tego typu szczegółów Kowalewski staje się uwiarygodniającym minioną rzeczywistość werystą w rodzaju Marka Krajewskiego, z wielką maestrią odtwarzającego w swoich wrocławskich kryminałach z udziałem komisarza Eberharda Mocka zaginiony świat dawnego Breslau.

Podstawową przesłanką wyprawy Manna na północno-wschodnie rubieże państwa niemieckiego, za jakie uchodziły odcięte tzw. Korytarzem Prusy Wschodnie, była idea silniejszego zintegrowania pod względem kulturowym tej prowincji z resztą państwa niemieckiego. Dlatego w usta ministra Gerharda von Kanitza (1885–1949)³, który wywodził się z majątku położonego niedaleko miasteczka Orneta/Wormditt na Warmii, Kowalewski zdecydował się włożyć argumenty cytowane poniżej. Przedstawione zostały one w rozmowie von Kanitza z Mannem mającym, w ramach wyczerpującej jego siły podróży, wygłosić w Olsztynie/Allenstein odczyt zatytułowany *Nietzsche a muzyka. Miłość i nienawiść*:

To są tereny całkowicie odcięte od głównego pnia niemieckiej kultury. Jeśli wielu ludzi, jak pan, pański brat Heinrich albo Toller czy Bergengruen, przynajmniej nie zamanifestują swojego nimi zainteresowania, to puste pole zagospodaruje dobrze pan wie, kto. Jestem pełen troski. Sam pan widzi, co dzieje się w Republice!⁴

W ten sposób, świadomie czy też może mimowolnie, Kowalewski wpisał się w dyskurs dotyczący patentu do sprawowania władzy państwowej nad Prusami Wschodnimi, jaki nieustannie rozniecał umysły polityków i intelektualistów polskich i niemieckich zarówno na przestrzeni niemal całego wieku dziewiętnastego, jak i później, zwłaszcza w okresie poplebiscytowym. Nie należy przy tym zapominać, że Niemcy swoją lekcję po wygranym plebiscycie odrobili znakomicie, co tak doskonale wypunktował Stanisław Swianiewicz – polski ekonomista związany przed drugą wojną światową ze środowiskiem naukowym Królewca/Königsbergu – w swych wspomnieniach zatytułowanych *W cieniu Katynia*. Natomiast odrodzona Polska, zaprzątnięta innymi ważnymi z ówczesnego punktu widzenia sprawami, odwróciła się od Warmii i Mazur i nie zabiegała skutecznie o sprawowanie rządu dusz w tym regionie. Przywołanie na kartach opowiadania hrabiego von Kanitza, stosunkowo liberalnego posła do pruskiego Landtagu w czasach istnienia Republiki Weimarskiej, dowodzi sprawnego poruszania się Kowalewskiego w realiach nie tylko artystycznych, lecz również historycznych, związanych z dziejami Prus

³ http://www.bundesarchiv.de/aktenreichskanzlei/1919-1933/0011/adr/adrhl/kap1_4/pa-ra2_25.html [dostęp: 19.09.2015].

⁴ W. Kowalewski, *Światło i lęk...*, s. 153.

i Niemiec. Stanowi to dodatkowy walor poznawczy jego opowieści, umożliwiając zetknięcie się – być może po raz pierwszy – z nazwiskiem tak ważnej postaci życia politycznego pochodzącej z terenów Warmii.

Miejsce zakwaterowania Tomasza Manna, przybyłego z odległej względem Prus Wschodnich niemieckiej metropolii, za jaką niewątpliwie uchodziło Monachium, do niewielkiego miasta Allenstein, wykazującego wszakże pod różnymi względami coraz większe aspiracje, Kowalewski opisuje w następujący sposób: „Najlepszy hotel nazwano oczywiście »Deutsches Haus«, jak w co drugim mieście tego kraju. Znajdował się przy głównej ulicy, tuż obok ratusza”⁵. Nieco dalej autor zaś dodawał:

Apartament był obszerny, podobno pięć lat temu nocował tu sam Hindenburg. Przeładowany meblami salon o trzech wielkich oknach, w którym można by urządzić kongres jakiejś mniejszej partii politycznej. Dalej ładny gabinet, gdzie na mahoniowym biurku ustawiono nowiutką maszynę do pisania i pudełko ołówków firmy „Moser”. Leżały też miejscowe gazety, „Allensteiner Volksblatt”, „Allensteiner Zeitung” – tłustą czcionką informujące na pierwszych stronach o jego przyjeździe⁶.

Dzięki temu prostemu zabiegowi znakomicie udało się Kowalewskiemu uchwycić, coraz bardziej w ostatnich latach istnienia Republiki Weimarskiej duszną, gęstniejącą atmosferę tego nieco zaściankowego miasta. Prawdopodobnie dlatego też pozwolił on Mannowi snuć w zaciszu hotelu „Deutsches Haus” wspomnienia wokół wydarzeń sprzed dziesięciu lat, kiedy opuścił Monachium ogarnięte, jak wiele innych wielkich miast w Niemczech i Europie, gorączką protestów robotniczych. Autor *Śmierci w Wenecji* wyjechał wtedy, by znów rozkoszować się melancholią tak dobrze znanych mu adriatyckich plaż. Kowalewski zauważa, że „Świat przeżywał jeszcze amok radości po wielkiej wojnie, a na Lido słyszało się wyłącznie języki zwycięskich mocarstw. Był [Mann – G. S.] przekonany, że jest jedynym Niemcem w tym podekscytowanym tłumie, jedynym człowiekiem niepoddającym się prostackiej energii półnagich ciał i pragnieniu zabawy”⁷. Dalszy ciąg reminiscencji Manna dotyczy gorącego romansu, jaki połączył go wówczas ze znudzoną życiem żoną pewnego fabrykanta zapalek ze Słupska (Stolp), legitymującą się cokolwiek pretensjonalnym imieniem Virna.

Główny punkt wizyty Manna w Allenstein, które jakiś czas temu awansowało do rangi stolicy południowej rejencji Prus Wschodnich, zaplanowany był w siedzibie pobudowanego zaledwie przed kilku laty Teatru Miejskiego. W krytycznej opinii narratora był to „[...] bezstyłowy i brzydki budynek [...], *Treudank* dla Allenstein za zwycięstwo w plebiscycie”⁸. W słowach tych do

⁵ Tamże, s. 158.

⁶ Tamże, s. 158–159.

⁷ Tamże, s. 161.

⁸ Tamże, s. 164–165.

głosu dochodzi zapewne odautorska niechęć zarówno do samych przyczyn powstania, jak i realizacji tego założenia architektonicznego, któremu rzeczywiście w dużej mierze przyświecała wola zademonstrowania politycznego i duchowego związania regionu wschodniopruskiego z resztą Niemiec. Zebrana w teatrze publiczność, z całą pewnością niewyrobiona jeszcze pod względem ambicji kulturalnych, zgromadziła się tam nie ze względu na to, by zapoznać się z najważniejszymi tezami zawartymi w wykładzie Manna, lecz po to, by uczestniczyć w wydarzeniu przerywającym nieco nudną codzienność Allenstein. W życiu Manna przybycie do tego miasta miało się wszakże zapisać jako niezwykle ważne wydarzenie. Tu bowiem nieoczekiwanie doszło do ponownego spotkania z poznaną niegdyś w Wenecji kochanką Virną i także tu miała dotrzeć do autora *Buddenbrooków* i *Czarodziejskiej góry* pewna ważna wiadomość wysłana przez jego żonę Katię. Zawiadamiała ona swego sławnego męża o przyznaniu mu nagrody Nobla w dziedzinie literatury, co – jak wiadomo – nastąpiło w roku 1929. Warto dodać, że w rzeczywistości telefon ze Sztokholmu zastał Manna w jego obszernym domu monachijskim znajdującym się przy Poschingerstraße⁹.

Niemiecki Olsztyn (Allenstein) stanowił wraz Prusami Wschodnimi wdzięczne tło także do znakomitego opowiadania *Powrót do Breitenheide*, ogłoszonego po raz pierwszy drukiem w piśmie „Borussia” w roku 1995. W utworze tym Kowalewski przedstawia nieco inne problemy niż ewentualne konflikty na linii Polacy i Niemcy, koncentrując się na sprawach związanych z rejonami wykraczającymi poza codzienność, takimi jak sztuka i jej znaczenie w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej. Ogólny tenor tej opowieści brzmi raczej eskapistycznie, dekadensko, ale jednocześnie daleki jest od doraźnej publicystyki. Autor umieścił jej akcję w mieście wtedy na wskroś niemieckim, w którym w zasadzie nie można było doszukać się bardziej znaczących śladów polskości. A tę przez cały okres powojenny z taką skrupulatnością i nadmierną gorliwością usiłowali udowodnić polscy naukowcy i pisarze.

Kowalewski bardzo sugestywnie zadbał o wierne odmalowanie ówczesnych realiów miasta Allenstein i położonej w południowej części Mazur wsi wypoczynkowej o nazwie Nida (Nieden). Główny protagonista, francuski marszand o nazwisku Chabot, przybywa pociągiem wraz ze swą towarzyszką o imieniu Bernadette, również Francuzką, do Allenstein, by następnie przesiąść się do składu wiodącego przez Szczytno (Ortelsburg) do stacji Szeroki

⁹ Informacja taka zawarta jest m.in. w artykule Susanne Beyer „Sonderbarer Traum” opublikowanym w tygodniku „Der Spiegel”, 12/2005, <http://www.spiegel.de/spiegel/print/d-39774253.html> [dostęp: 8.10.2013]. Również w książkowej wersji scenariusza filmu *Die Manns. Ein Jahrhundertroman* (Frankfurt am Main 2001, s. 128), autorstwa Heinricha Breloera i Horsta Königsteina, zawarta jest scena, w której właśnie w tym miejscu wiadomość tę przekazuje Mannowi jego ulubione dziecko, jedenastoletnia wtedy córka Elisabeth, znana później pod mężowskim nazwiskiem Borgese.

Bór (Breitenheide). Stamtąd dwójka podróżników ma udać się do siedziby malarza Martina Stiebła przebywającego w malowniczej wiosce Nieden. Bernadette, nawykła do wytwornego życia na paryskich salonach, domniemana lub rzeczywista modelka słynnych wówczas malarzy i rzeźbiarzy, utyskuje na – jej zdaniem – niezwykle niski poziom kultury materialnej wschodniopruskiej prowincji. Mierzi ją już sam niewyszukany wygląd dworca w Allenstein i rzucająca się w oczy pospolitość zachowań miejscowej ludności. Narzeka nawet na nieumiejętność podawania kawy przez lokalnych restauratorów. Chabot, który z własnej woli odbył studia na monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych, od dawna urzeczony niemiecką dekadencją i bohemą artystyczną, jest bardziej otwarty na realia zastane podczas przerwy w podróży:

Za szpalerami drzew płynęły do tyłu fasady dobrze utrzymanych willi i niewielkich kamienic w wypielegnowanych ogródkach oddzielonych od trotuaru żelaznymi parkanami. „Kaiserstraße” – przeczytał nazwę z tabliczki umocowanej na jednej z takich formowanych w roślinny wzór sztachet. Bezwiednie rejestrował nieznanne perspektywy i obce napisy – tu wypolerowany zakład fryzjerski, tam wabiący ciemnym wnętrzem i stosami wonnych towarów sklep kolonialny, hotel „Königlicher” z agawami w donicach wielkości beczek przed bramą, piwiarnia, wreszcie w narożnym domu jakiś „Joseph Hermann Geschäft”¹⁰.

Te uroki miasta Allenstein w żadnej mierze nie są w stanie zachwycić Bernadette, która w trakcie późniejszych sporów natury artystycznej nie podziela fascynacji Chabota wybitnymi, a zarazem niezwykle popularnymi niemieckimi malarzami romantycznymi – Adrianem Ludwigiem Richterem i Carlem Gustavem Carusem. Nie podoba jej się także twórczość przedstawicieli innych kierunków w malarstwie niemieckiego obszaru kulturowego, takich jak realiści Adolph Menzel i Max Liebermann, impresjonista Max Slevogt czy symbolista Arnold Böcklin. Dlatego zarzuca swemu towarzyszowi uleganie niewłaściwym w jej przekonaniu manierom artystycznym: „Ciagnie ciebie do tych Niemiec... . Jak można było, będąc Francuzem, nie studiować sztuki w Paryżu, tylko w jakimś Monachium?”¹¹. Bernadette jest zdania, że Chabot w pełni przesiąkł zdradliwymi prądami artystycznymi, ocenianymi przez nią ostatecznie jako ciężki, niestrawny sos. Chabot odpiera te ataki: „– Nic nie rozumiesz – parsknął. – Monachijski sos! Guzik wiesz, co znaczy *Stimmung*. Trzeba tu żyć, żeby zrozumieć”¹². Na takie *dictum* Bernadette replikuje: „– Co znaczy? Brązowo, ciemno, tłusto, lepko”¹³. W ten niewyrażony, ale jakże dosadny sposób towarzyszka Chabota podsumowuje swe wyobrażenia o wkładzie ludów północnej Europy do światowego dziedzictwa kulturowego. Pewne skażenie ideowe Prus Wschodnich, faktyczny lub też

¹⁰ W. Kowalewski, *Powrót do Breitenheide*, „Borussia”, 10/1995, s. 202–203.

¹¹ Tamże, s. 205.

¹² Tamże.

¹³ Tamże.

tylko domniemany, dziedziczny defekt tej krainy, najlepiej zdiagnozował zresztą doktor Schwind, przybyły tu przed laty po odbyciu studiów w południowoniemieckiej Tybindze:

– Tutaj [...] wisi w powietrzu pewna szczelna odmiana melancholii skłaniająca do zapatrzenia głęboko w siebie, lecz powodująca niemożność wydobycia na zewnątrz tego, co wówczas odbija się w wyobraźni. [...] – Prusy Wschodnie nie mają swojego piewcy i nie miały nigdy kogoś, kto odkryłby ich zasupłaną w paskudny węzeł tajemnicę, odczytał sens ponurego płaczu tej ziemi. Gdzie indziej wystarczy spłachetek ugorów z paroma bajorami, jałowe rumowisko kamieni, Alpy na przykład, a już jest bard, poeta, kapłan miejscowego piękna. A tu? Jedyne, co Stiebl mógł tu malować, to afrykańskie pejzaże¹⁴.

Chabot, niezrażony tak jednoznacznie negatywnym przedstawieniem sprawy przez Bernadette i Schwinda, za wszelką cenę pragnie odkryć tajemnicę malarstwa Stiebla, który świadomie wybrał tę nieprzyjazną krainę jezior, jaką były Mazury, by na płótnach obrazów tworzonych w swoim atelier uchwycić ich przynębiającą melancholię i bezbrzeżny smutek. Starannie skrywane przed obcym wzrokiem, ostatnie dzieło malarza, nieszczęśliwego z uwagi na niezrozumienie otoczenia i chorobę przywleczoną z eskapady do Afryki, Kowalewski opisuje następującymi słowy:

Jego centrum pokrywały całkowicie abstrakcyjne znaki, skłębione kształty w dzikich kolorach, motywy i formy nie przypominające niczego, co spotyka człowieka w realnym świecie. Brak było jakichkolwiek symboli, jakichkolwiek śladów konkretnego przesłania – poza tym, że cała ta magma sprawiała wrażenie, iż za chwilę przeleje się przez ramy i jaskrawą, lekką masą pograży w sobie widza¹⁵.

Ten na poły apokaliptyczny obraz Stiebla, zatytułowany „Profety”, najwyraźniej stanowi więc artystyczną i wizjonerską antycypację nadchodzącego wieku totalitaryzmów, którego kulminacją była zagłada milionów istnień ludzkich. Jest też odzwierciedleniem głębokiego urazu psychicznego malarza, jakiego doznał wskutek konieczności ciągłego przebywania w nieprzyjaznym Nieden. Tak Stiebl przedstawia wykładnię swej obecnej porażki jako człowiek i twórca:

Ten kraj niczego u mnie nie wywołuje, do niczego nie pobudza. Próbowałem kiedyś tutejszego pejzażu, wychodziły łzawe pocztówki. Corinna mnie opuściła, bo nie mogła znieść wilgoci, i wyjechała do Aachen. Ludzie mówią tu różnymi językami, chodzą do różnych kościołów i czuję w powietrzu, jak coraz bardziej zasadnicza jest dla nich ta inność, jak coraz bardziej są przeciwko sobie¹⁶.

¹⁴ Tamże, s. 213.

¹⁵ Tamże, s. 230.

¹⁶ Tamże, s. 218.

W tym mazurskim mikrokosmosie dopatruje się on także zarzewia ogólnoeuropejskich konfliktów, jakie już niebawem z wielką siłą wybuchną na niespotykaną dotąd skalę.

Jeszcze w drodze z Allenstein do Nieden Chabot nieustannie przygląda się Mazurom, co może przywołać na myśl skojarzenia z ich konterfektami zawartymi w słynnej książce Melchiora Wańkowicza *Na tropach Smętka*:

Na małych stacyjkach, zatopionych w martwocie i skwarze południowej pory, wsiadali miejscowi ludzie. Przyglądał się im z zainteresowaniem, ale prawdę mówiąc, nie znalazł w nich niczego osobliwego. Ciemno ubrane kobiety z włosami upiętymi w kok, gładko wygoleni mężczyźni, czasem odświętnie – w meloniku i z dewizką dyndającą na dumnie wypiętym brzuchu. Wszyscy sprawiali wrażenie czystszych i zamożniejszych od chłopów spod Limoges i Besançon¹⁷.

Charakterystyczne, że autor opowiadania *Powrót do Breitenheide* ani razu nie używa w odniesieniu do opisywanych przez siebie tubylców określenia *Mazurzy*, jakby chciał oderwać się od schematycznego myślenia o tej grupie etnicznej. Ale być może dzieje się tak tylko dlatego, że sam nie jest pewien, jak ocenić tych ludzi w kategoriach narodowych i etnicznych. Warto w tym miejscu przypomnieć, że już kilka lat później ludność ta zdecydowanie opowie się za pozostaniem w obrębie prowincji Ostpreußen, a w momencie przyłączenia tego regionu do Polski przyjdzie jej *en masse* zniknąć z zamieszkiwanych od kilku wieków terenów. U progu nowego tysiąclecia zostaną oni przez wybitnego działacza mazurskiego, Wiktora Marka Leyka, uznani za członków endemicznej grupy ludnościowej, porównywanej jedynie z Indianami – ostatnimi Mohikanami.

To, co łączy oba opowiadania Kowalewskiego, to przeciwstawienie dwóch całkowicie odmiennych *modi vivendi* w obrębie tego samego organizmu państwowego, jakim były Niemcy. Prusy Wschodnie jawią się jako egzemplifikacja i inkarnacja kultury północy, zwanej zresztą przez Bernadette „kulturą smalcu”. Są one przeciwstawione kulturze południa, określanej przez nią jako „kultura oliwy”. A za taką uchodzić może, częściowo chociażby, południowoniemiecka Bawaria wraz z jej stolicą Monachium. W obu utworach wyraźnie zarysowuje się ponadto opozycja pomiędzy dwoma *habitusami* – wielkomiejskim i rustykalno-dziewieczym. Uderza też niezwykła wrażliwość autora w sposobie odwzorowania nawet najmniejszych detali związanych z niemieckim obliczem dawnych Prus Wschodnich, wyrażająca się nie tylko znajomością lokalnej toponomastyki w języku niemieckim, lecz także sprawnym poruszaniem się w całym konglomeracie kulturowym Niemiec z przełomu wieków. Taka precyzja zbliża Kowalewskiego również do Stefana Chwina, który w powieści *Hanemann* (1995) wykreowanemu przez siebie bohaterowi w podobny sposób kazał podchodzić do zastanego niemieckiego dziedzictwa

¹⁷ Tamże, s. 204.

Gdańska. Zasluga Kowalewskiego w odkrywaniu zapoznanych światów zdaje się być jednak o tyle większa, że dotyczy niesłusznie marginalizowanego – tak kiedyś, jak i dziś – regionu na mapie Europy, jaki stanowią Warmia i Mazury.

Swoje niemalże intymne odniesienie do niemieckości w szczególny sposób zademonstrował Kowalewski w przemówieniu wygłoszonym podczas odbierania, przyznanej mu w roku 2003 przez partnerskie miasta Torunia i Getyngi, Literackiej Nagrody im. S. B. Lindego. Autor wyznał wtedy:

Różnorodnych odcieni niemieckości doświadczałem [...] indywidualnie i prywatnie, od najwcześniejszego dzieciństwa, i choć nie znam języka niemieckiego, to niespodziewanie mocno wpłynęła ona na mój ogląd świata, na wrażliwość. Później stanowiła też inspirację artystyczną: ważną, ale jedną z wielu¹⁸.

Ostatnie zdanie wskazuje na to, że wzajemne oddziaływanie na siebie żywiołu niemieckiego (germańskiego) i polskiego (słowiańskiego) nie przerodziło się w jego przypadku w jakieś obsesyjne penetrowanie wprawdzie istotnego, ale jednak w jakimś stopniu ograniczającego wymiaru rzeczywistości. W tym samym przemówieniu pisarz–laureat zauważył ponadto, odnosząc się do swojego miejsca urodzenia i zamieszkania:

Wszystko, co należało do epoki przed rokiem 1945, było tutaj mgłą, magmą, „czarną dziurą”, do której pasowałoby tylko jedno uniwersalne określenie: „niemieckość”. Wszystko to, co z owej „czarnej dziury” pochodziło i zachowało się do naszych czasów, nazywano „poniemieckim”. „Niemieckości” doświadczam zatem przez „poniemieckość”, i to na poziomie zarówno żywych ludzi, jak i przedmiotów¹⁹.

To ważna deklaracja prozaika, który w pewnym sensie zdawał się być człowiekiem wydziedziczonym z naturalnego podglebia kulturowego, jakim dysponowali mieszkańcy Polski uważanej za tę „właściwą”. Co ciekawe, takie określenia jak *poniemiecki*, *poniemieckość*, jakże często używane w polszczyźnie, w zasadzie nie mają bezpośredniego ekwiwalentu w języku naszych zachodnich sąsiadów. Termin *postdeutsch* brzmi bowiem sztucznie, przywołując na myśl raczej skojarzenia z takimi pojęciami, jak ‘ponowoczesność’ czy ‘postmodernizm’. Wynika to oczywiście z innej optyki rozpatrywania kwestii historycznych w Polsce i Niemczech. Z punktu widzenia byłych mieszkańców dawnych ziem niemieckich, nie tylko tych mogących uchodzić za nieprzejednanych w deklarowanym lub imputowanym im „antypolonizm”, wszystko to, co po nich pozostało, w zasadzie pozbawione jest odpowiedniego desygnatu. Z podobnym problemem z zakresu językoznawstwa musieli się zresztą

¹⁸ W. Kowalewski, *Poniemieckość*, w: *Spotkania. Jesień poetycka 2013/Begegnungen. Poetischer Herbst 2013*, Olsztyn 2013, s. 76.

¹⁹ Tamże, s. 78.

zmierzyć Polacy, dawni mieszkańcy okolic Wilna i Lwowa, gdyby o pozostawionym przez nich mieniu lub duchowym dziedzictwie ich litewscy, białoruscy czy ukraińscy następcy wyrażali się, używając nacechowanego negatywnie, choć na szczęście nieistniejącego chyba, terminu *popolskość*.

O tym, że przeniknięcie, istniejącego wszakże już raczej tylko jako fantom, świata Prus Wschodnich nie jest możliwe bez znajomości języka niemieckiego przekonany jest również Kowalewski:

Jak już wspominałem, nie znam języka niemieckiego, ale jego ostre brzmienie i specyficzną dla polskiego ucha melodykę od dzieciństwa traktowałem jako naturalny element otoczenia, nie zdając sobie sprawy z tego, że wychowuję się i dorastam, jak byśmy to dzisiaj mądrze powiedzieli: „w przestrzeni wielokulturowej” albo nawet „na pograniczu kultur”. Brat mojej Matki, wileński partyzant, a potem więzień syberyjskiego łagru, ożenił się z Warmianką. Ciotka Anka pochodziła z rodziny, gdzie dziadkowie posługiwali się jeszcze warmińską gwara, rodzice już ją zapomnieli, natomiast liczne rodzeństwo w połowie przyznawało się do narodowości niemieckiej i w połowie do polskiej. Nie było to jednak na tych terenach niczym niezwykłym²⁰.

Ta trafna diagnoza Kowalewskiego po raz kolejny dowodzi wyjątkowości roli, jaką skądinąd odgrywa język ojczysty w kształtowaniu się osobowości i postaw człowieka, nieustannie stanowiąc ważny punkt odniesienia w historycznych i współczesnych relacjach pomiędzy Polakami a Niemcami. Tych ostatnich już u zarania wzajemnych stosunków Słowianie odbierali przecież jako „niemych”, czyli niezrozumiałych. Dlatego prozaik, wspominając swe dzieciństwo spędzone w Olsztynku, odwołuje się do takich faktów, jak ten, iż jedna z sąsiadek, wykonując zwykłe czynności domowe, uczyła swoich synów języka niemieckiego. Dodaje też, że mowę tę „słyszał było na targowisku”²¹. Pewnym paradoksem zdaje się przy tym być jednak to, że pisarz w jakiejś mierze jakby usprawiedliwiał się przed zebraniem w Toruniu polsko-niemieckim gremium z powodu niezajomości języka Goethego i Schillera, w tym przypadku będącym nie tylko środkiem komunikacji werbalnej, ale czymś znacznie więcej, a mianowicie *sui generis* łącznikiem pomiędzy reprezentantami odmiennych kręgów kulturowych. Warto przy tej okazji zauważyć i to, że nawet ci Niemcy, którzy z różnych powodów opuścili Polskę i osiedli w Niemczech, z konieczności, czy niekiedy także z własnej woli, zazwyczaj zdążyli nauczyć się przynajmniej podstaw języka polskiego. Rzadko natomiast działo się coś odwrotnego, tzn. tak, że nowi mieszkańcy ziem zamieszkałych wcześniej przez ludność niemiecką pragnęli zrozumieć otaczający ich „inny świat”, odbierany zresztą zazwyczaj jako obcy i wrogi, ucząc się języka niemieckiego. Stosunkowo często było to oczywiście skutkiem podejmowanych odgórnie decyzji politycznych, zmierzających do wyrugowania tego

²⁰ Tamże.

²¹ Tamże, s. 80.

języka z przestrzeni publicznej, ale trzeba też przyznać, że wśród napływowych Polaków taka potrzeba zazwyczaj po prostu nie pojawiała się.

W wygłoszonym w Toruniu przemówieniu *Ponemieckość* nie mogło zabraknąć następującego, jakże realistycznie brzmiącego wątku:

Mieszkaliśmy w poniemieckich domach. Wszystkie miały ogródki i drewniane okiennice, których za naszych czasów nikt nie używał, aż zmurszały i odpadły ze ścian. Moja Matka i ciotki, idąc przed siebie nieznanymi ulicami ze stacji kolejowej, prosto z przesiedleńczego transportu, zajęły pierwsze wolne, prawie umeblowane mieszkanie. Przyszedłem na świat jedenaście lat później, ale i mnie długo otaczały poniemieckie sprzęty. Duży pokój oświetlał zostawiony przez poprzednich właścicieli żyrandol-pająk, ogrzewał piec z łśniących, wiśniowych kafli, posiłki gotowaliśmy na poniemieckiej kuchence gazowej [...]. Choć nikt z nas nie znał niemieckiego, Ojciec skupował za grosze poniemieckie książki, najchętniej wytworne, XIX-wieczne wydania romantyków, często na welinowym papierze, ze złożonymi brzegami. Do dziś zdobią pozostała po Nim biblioteczka. W moim pokoju wisiał głośnik miejskiego radiowęzła, założonego przez Niemców, ale eksploatowanego jeszcze przynajmniej dwadzieścia lat po wojnie [...]. Może tą drogą przyszedł rozkaz ewakuacji? Niektórzy dawni mieszkańcy naszej ulicy uciekali w popłochu, sąsiedzi opowiadali o znalezionych na stole talerzach ze zgniłą, niedojedzoną zupą i porzuconych, skamieniałych kromkach chleba. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim byli ludzie zajmujący nasze mieszkanie przed nami²².

Tą niezwykle otwartą relacją o niemal ekspiacyjnym charakterze Kowalewski wpisał się znakomicie w zainicjowany po roku 1989 nurt odkrywania zaginionego świata na zachodzie i północy Polski, który – oprócz wspomnianych już utworów Stefana Chwina i Pawła Huellego – wyznaczyła chociażby powieść *Eine kleine* (2000) Artura D. Liskowackiego. Cytowany fragment świetnie ilustruje codzienność/niecodzienność sytuacji, z jaką przyszło się zmierzyć jego bliskim, przybyłym niegdyś na olsztynecką (w szerszej perspektywie: „ponemiecką”) ziemię. Co ciekawe, podobne klimaty musiały autorowi towarzyszyć także podczas studiów w „mieście miast”, za jaki nieodmiennie uważa Toruń. Nieprzypadkowo chyba akurat to miasto posłużyło też twórcom legendarnego filmu *Prawo i pięść* (1964) jako kulisy odgrywające anonimowe miasto zagubione w interiorze tzw. ziem odzyskanych. I nieprzypadkowo też współcześni mieszkańcy tego nadwiślańskiego grodu upamiętnili ów fakt artystyczną instalacją na Rynku Nowomiejskim nawiązującą do, przedstawionego w ekranizacji powieści Józefa Hena, przełomowego momentu w historii tak wielu miast i wsi „ponemieckich”. Symptomatyczne jest też ostatnie zdanie w cytowanej powyżej wypowiedzi, wyrażające całkowity brak jakichkolwiek kontaktów z dawnymi, niemieckimi lokatorami mieszkania w Olsztynku, zajętego po wojnie przez rodzinę pisarza. Zazwyczaj działo się mianowicie inaczej – wcześniej czy później dawni mieszkańcy

²² Tamże, s. 82 i 84.

nawiazywali jakieś kontakty z Polakami. Powody takiego, a nie innego stanu rzeczy mogły być w tym konkretnym przypadku dwa: albo śmierć tych Niemców w czasie ucieczki, albo też ich niechęć do powrotu w rodzinne strony, podyktowana zresztą najróżniejszymi względami. Autor pozostawia jednak tę kwestię otwartą już chociażby z uwagi na to, że w połowie lat sześćdziesiątych wraz z rodziną przeniósł się do nieodległego Olsztyna.

Mimo złożonej przezeń deklaracji, iż tematyka relacji między Polakami a Niemcami stanowiła jedynie część jego zainteresowań literackich i artystycznych, należy stwierdzić, że motywy zawarte w niektórych opowiadaniach, głównie zaś w przemówieniu wygłoszonym w roku 2003 w Toruniu, obejmują obszerny materiał poznawczy w tej dziedzinie. Umożliwia on czytelnikom wyrobienie sobie zdania dotyczącego wpływu niemieckości i „poniemieckości” na kształtowanie się wizerunku artystycznego pisarza. W swej twórczości Kowalewski wykazuje bowiem duże znanstwo problematyki związanej zarówno z kulturą i historią niemiecką jako taką, jak i jej wschodniopruską specyfiką. Wiedzę tę prozaik umiejętnie konfrontuje następnie z nową rzeczywistością. Nabycie jej uważa za czynnik nieodzowny dla pełniejszego zrozumienia odrębności regionu określanego dzisiaj jako Warmia i Mazury. W jakiejś mierze reprezentuje przy tym pogląd, że obecnie mamy do czynienia wręcz z nasilającym się procesem widocznego stapiania się w całkiem nową jakość dawniejszych tradycji i kultur z późniejszymi. Takie przekonanie bliskie jest temu, co Alicja Bykowska-Salczyńska wyraziła swego czasu w komentarzu do jej słynnego wiersza *Autobus do Mokin*. Wybitna poetka zadeklarowała, aczkolwiek nieśmiało, że po latach spędzonych na Warmii pragnęłaby uchodzić za Warmiankę. To jej szczere życzenie wynika zapewne nie tylko z faktu długotrwałego przebywania na terenie tej krainy, lecz – jak się zdaje – o wiele bardziej właśnie z dowiedzionej w jej twórczości próby wnikięcia w głąb warmińskości, a co za tym idzie – w szerszej perspektywie – także wschodniopruskości i niemieckości. Współcześnie nic już nie stoi chyba na przeszkodzie ku temu, by „nowi” mieszkańcy regionu, jeśli tylko będą o to zabiegali, mogli posługiwać się wspomnianą przez nią kategorią tożsamościową. A ta dotyczy oczywiście również poetów, którzy w końcu, jak powiedział Hölderlin, ustanawiają to, co pozostaje.

Bibliografia

Źródła

- Chwin Stefan, *Hanemann*, Gdańsk 1995.
 Huelle Paweł, *Castorp*, Gdańsk 2004.
 Huelle Paweł, *Weiser Dawidek*, Gdańsk 1987.
 Kowalewski Włodzimierz, *Powrót do Breitenheide*, „Borussia” 1995, nr 10, s. 199–232.
 Kowalewski Włodzimierz, *Światło i lęk. Opowiadania starej daty*, Warszawa 2003.
 Liskowacki Artur D., *Eine kleine*, Szczecin 2000.

Swianiewicz Stanisław, *W cieniu Katynia*, [wyd. krajowe] Warszawa 1990.
Wańkiewicz Melchior, *Na tropach Smętka*, Kraków 1988.

Opracowania

Breloer Heinrich, Königstein Horst, *Die Manns. Ein Jahrhundertroman*, Frankfurt am Main 2001.

Kowalewski Włodzimierz, *Ponemieckość*, w: *Spotkania. Jesień poetycka 2013 / Begegnungen. Poetischer Herbst 2013*, Olsztyn 2013.

Źródła internetowe

http://teatrnn.pl/leksykon/node/4384/pawe%C5%82_huelle_ur_1957#1 [dostęp: 20.09.2015].

http://www.bundesarchiv.de/aktenreichskanzlei/1919-1933/0011/adr/adrhl/kap1_4/para2_25.html [dostęp: 19.09.2015].

<http://www.spiegel.de/spiegel/print/d-39774253.html> [dostęp: 8.10.2013].

Summary

Born in a small town near Olsztyn, Kowalewski is one of the most recognizable writers of Warmia and Masuria. In his prose, especially in his short stories *Powrót do Breitenheide* (Return to Breitenheide) and *Wieczór autorski* (Reading), he explores the German presence in a region that belonged to Germany until 1945. Kowalewski describes the differences between the German and Polish world views and aesthetic feeling. The writer also presents his personal attitude to German history and everyday life he knew as a young man. This manuscript critically discusses the point of view presented by Kowalewski.